

ANDRZEJ WALICKI

# Niebezpieczne nieporozumienia w sprawach nauki

**Bardzo niekorzystna dla środowiska naukowego stała się próba wdrożenia amerykańskiego systemu studiów dwustopniowych, czyli podziału studiów na licencjackie oraz podyplomowe**

**A**rtykuł Kuby Kapiszewskiego „Z habilitacją na dobre i na złe” („P” nr 4, 30.01.2011) porusza sprawę głęboko niepokojącą polskie środowiska naukowe, zarówno uniwersyteckie, jak i PAN-owskie. Ale koncentruje się na jednej tylko kwestii – na projekcie zmian w regulacjach dotyczących stopnia doktora habilitowanego. Przedmiotem uzasadnionego niepokoju jest natomiast – i powinien być całościowo projektowanych ustaw dotyczących nauki, a przede wszystkim całościowe podejście do problemu reformowania instytucji naukowych, reprezentowane przez min. Barbarę Kudrycką i wspierające ją środowiska polityczne.

Wyjaśnić muszę, że wypowiadam się wyłącznie we własnym imieniu – jako emeryt, niezwiązany z jakimkolwiek układem partykularnych interesów,

**znający natomiast z własnego doświadczenia wiele zachodnich instytucji naukowych,**

zwłaszcza brytyjskich i amerykańskich, które nasi reformatorzy traktują ponoć jako model dla uniwersytetów polskich<sup>1</sup>. Tak się bowiem złożyło, że w ciągu mojego 80-letniego już życia wykładałem w Oksfordzie (w All Souls College, 1966-1967) i na Uniwersytecie Stanforda (1978), w Kopenhadze, w Genewie; pracowałem naukowo w Woodrow Wilson International Center For Scholars w Waszyngtonie (rok ak. 1977-1978), w Humanities Research Centre w Canberze i, aż przez pięć lat (1981-1986), na Australijskim Uniwersytecie Narodowym, na etacie naukowo-badawczym, czyli (podobnie jak w PAN) bez obowiązku pracy dydaktycznej; wreszcie zakończyłem karierę 13-letnią profesurą na Uniwersytecie Notre Dame w Indianie (1986-1999), gdzie zajmowałem specjalną „katedrę fundowaną” w zakresie historii idei. Doświadczenie to, wzbogacone licznymi krótkimi wizytami na innych uczelniach zachodniego świata, daje mi podstawy do smutnej refleksji, że biurokratyczny centralizm, pozwalający jakiemuś organowi rządu na występowanie wobec świata nauki w roli pracodawcy z uprawnieniami władzami i kontrolnymi, jest w krajach demokratycznych (na których chcemy się wzorować) zjawiskiem niewyobrażalnym. W Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieją uniwersytety stanowe (czyli finansowane publicznie), ale nie ma rzecz jasna jakiegokolwiek ministerstwa nauki, sama myśl o rządowych regulacjach życia naukowego natychmiast skojarzona by była z socjalistycznym totalitaryzmem. A o Oksfordzie i Cambridge, tradycyjnych ośrodkach absolutnej autonomii wobec rządu, ostentacyjnie gardzących formalnymi tytułami akademickimi (prawdziwie wielkich uczonych rozpoznaje się bowiem po nazwisku, a nie po formalnie przyznanych im tytułach)<sup>2</sup>, śmiesznie jest w ogóle wspominać w kontekście odgórnego „modernizacji” uniwersytetów.

Różnice, o których mowa, wyraźnie widać w sprawach, które traktujemy czasem jako drugorzędne, mało istotne. Spróbuję je wyliczyć w pewnym logicznym porządku, uwzględniając nie tylko zasady, lecz również sprawę powszechnie akceptowalnych praktyk, polegających czasem na świadomym unikaniu doktrynerskiej „zasadniczości”.

A więc, po kolei.

**1. Zatrudnienie pracownika.** W dyskusjach na temat habilitacji przewija się pogląd, że o zatrudnianiu pracownika nauki powinny decydować jego osiągnięcia naukowe, a więc habilitacja lub konkurs. W rzeczywistości ogłoszenie konkursu jest wprawdzie wymogiem prawnym, ale o zatrudnieniu (z wyjątkiem specjalnych „katedr fundowanych”, zarezerwowanych dla uczonych z dużym dorobkiem) decydują względy praktyczne, czyli konkretne potrzeby i preferencje wydziału. Jeśli profesura wydziałowa potrzebuje dobrego dydaktyka do nauczania początkujących studentów, to bez żadnych skrupułów zignoruje aplikacje dziesiątków kandydatów z tytułami i długą listą prac naukowych, słusznie rozumując, że osiągnięcia naukowe i umiejętności dydaktyczne nie muszą iść w parze. Częste są wy-

**Jeśli profesura wydziałowa potrzebuje dobrego dydaktyka do nauczania początkujących studentów, to bez żadnych skrupułów zignoruje aplikacje kandydatów z tytułami i długą listą prac naukowych, słusznie rozumując, że osiągnięcia naukowe i umiejętności dydaktyczne nie muszą iść w parze.**

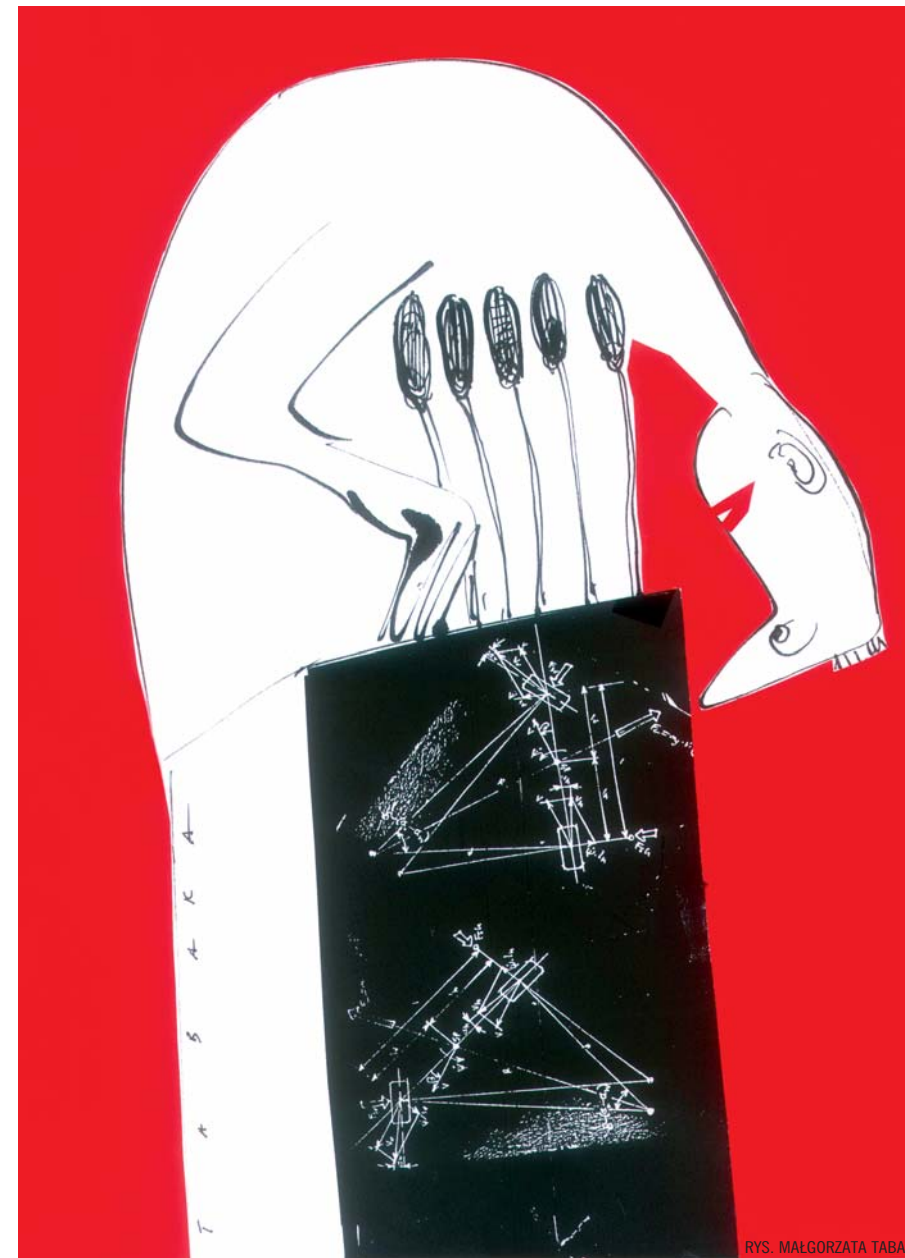
padki odrzucania kandydatów „nazbyt wysoko kwalifikowanych”, jako nienadających się do nauczania najmłodszych roczników, na rzecz kandydatów młodszych, gorzej opłacanych i w pełni dyspozycyjnych. Nie jest to uważane za jakieś nadużycie, ale za egzekwowanie przysługującego uczelni prawa wyboru, zgodnie z całościowym własnym, autonomicznie wyważanym potrzeb.

W praktyce prowadzi to oczywiście do sytuacji, w której ogłaszanie konkursu jest częścią formalnością, ponieważ istnieje

**z góry upatrzony kandydat,**

lub paru kandydatów, podczas gdy do konkursu stają dziesiątki, a nawet setki osób. W USA zdarza się niekiedy, że o wyborze kandydata decydują okoliczności pozamerytoryczne, mające pozytywny wpływ na ranking uczelni, np. płeć lub kolor skóry (ze względu na preferowanie kobiet i czarnoskórej mniejszości), co jest zjawiskiem, mówiąc oględnie, bardzo kontrowersyjnym. Ale nikt chyba nie przeciwstawiłby takim praktykom wymogu obligatoryjnego wybierania osób o największych „osiągnięciach naukowych”, przekreślałoby to bowiem prawo uczelni do własnego wyboru, wedle własnych potrzeb. Przekonanie zaś naszych reformatorów, że uczelnie uznane za „modelowe” zatrudniają pracowników na zasadzie ściśle zbiektywizowanych, naukowych konkursów, zaliczyć należy do ewidentnych naiwności.

**2. Warunki pracy.** Równie sprzeczne z rzeczywistością jest narzucane nam przekonanie, że o rankingu uczelni, na których mamy się wzorować, decydują wyłącznie kryteria wydajności, a więc że odpowiedzialność za niską ocenę uczelni polskich ponoszą zatrudnieni w nich naukowcy. W rzeczywistości o rankingu amerykańskich uniwersytetów decydują również oferowane w nich warunki pracy, a więc pobory pracowników (im wyższe, tym lepiej), warunki lokalowe, wyposażenie laboratoriów i pracowni, a także proporcje wśród studentów kobiet



RYŚ. MAŁGORZATA TABAKA

i mniejszości oraz, oczywiście, sukcesy absolwentów na rynku pracy. Kryterium naukowej „wydajności”, wciąż oczywiście bardzo ważne, występuje więc nie w starym, „purytańskim” zestawieniu z „oszczędnością”, ale w połączeniu z kryterium należytej dbałości o dobro społeczności naukowej i społeczności studenckiej.

**3. Oceny pracy.** Niezbędność głębokiej zmiany w organizacji polskiej nauki uzasadniana jest bardzo niską oceną polskich placówek naukowych w międzynarodowych rankingach, np. w rankingu SCImago, wedle którego czołowe uniwersytety polskie – Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski – znajdują się w czwartej i piątej setce uczelni świata (UJ na 362. miejscu, UW na 446. miejscu). Warto więc zwrócić uwagę, na jakiej podstawie dokonano tych ocen.

Po pierwsze – porównywanie rzeczy nieporównywalnych, np. Chińskiej Akademii Nauk i Rosyjskiej Akademii Nauk, zajmujących pierwsze i trzecie miejsce na liście,

**W Polsce nie ma wielkich korporacji, które gotowe byłyby kupować za duże pieniądze pomysły innowacyjne od polskich uczelni. Taniej jest kupować gotowe licencje z Zachodu.**

z poszczególnymi uniwersytetami w naszym kraju. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że Chińska Akademia Nauk nie jest jedną „jednostką badawczą”, ale zespołem licznych instytucji reprezentujących naukę najludniejszego kraju świata, potężnego, dynamicznie rozwijającego się państwa, słusznie skupiającego na sobie powszechną uwagę. Rosyjska Akademia Nauk również nie jest jedną „jednostką badawczą”, ale zespo-

**W poważnych środowiskach naukowych w USA osławiony „Indeks cytowań” jest przedmiotem żartów lub wstydlivego przemilczania, wiadomo bowiem doskonale, że walka o maksymalną cytawalność jest niewysychającym źródłem korupcji i patologii.**

łem kilkudziesięciu instytucji, które należałyby traktować rozdzielnie. Zestawianie miejsca obu tych akademii z jakimkolwiek poszczególnym uniwersytetem, a zwłaszcza z horrendalnie ubogimi i permanentnie niedofinansowanymi uczelniami polskimi, jest przeto dziwacznym nieporozumieniem. Czymś, co należałoby totalnie zignorować, a nie traktować jako podstawę do dyskwalifikowania dorobku polskich uczonych.

Po drugie – kryterium cytawalności, czyli osławiony „Indeks cytowań” (*Index of Quotations*). W poważnych środowiskach naukowych w USA jest to przedmiot żartów lub wstydlivego przemilczania, wiadomo bowiem doskonale, że walka o maksymalną cytawalność jest niewysychającym

**źródłem korupcji i patologii.**

Oczywiste jest przecież, że nie można porównywać cytawalności przedstawicieli liczących środowisk naukowych, zatrudnianych na wszystkich uniwersytetach, dysponujących wieloma czasopismami i wydawnictwami oraz regularnie spotykających się ze sobą na krajowych i międzynarodowych konferencjach, z cytawalnością przedstawicieli nauk nieuwzględnianych w uniwersyteckich sylabusach, a więc uczonych nielicznych, pracujących mniej lub bardziej samotnie – mimo że uczeni tacy reprezentują zwykle poziom wyższy od przeciętnej. Równie oczywiste jest, że nie można porównywać ze sobą cytawalności autorów piszących po angielsku i publikujących swe prace w czasopiśmie mogących liczyć na dystrybucję ogólnosięciową z cytawalnością uczonych publikujących w językach narodowych, zwłaszcza że w przypadku nauk humanistycznych prace takie nie mają z reguły żadnych szans na przekłady. I wreszcie, co zasługuje na szczególne podkreślenie, jest tajemnicza poliszynela, że bardzo liczni autorzy, dyskutujący ze sobą, a więc cytujący się wzajemnie, interesują się wymianą poglądów po to właśnie, aby mnożyć cytaty i w ten prosty sposób podbudować wzajemnie swoją reputację. Stąd właśnie wywodzi się popularne w USA przesądzenie, że należy znać prace z ostatnich 10 lat, a wolno zupełnie ignorować dzieła autorów dawniejszych, już nieżyjących, chociażby mieli oni w danej dyscyplinie sta-

tus klasyków. Obserwowałem to w okresie Gorbaczowowskiej pierestrojki, gdy każdego niemal dnia ukazywały się prace o marksizmie, polemiczne wobec siebie, ale niezdradzające śladów ponownej lektury klasyków – nieżyjących już, a więc niezdolnych do wzięcia udziału w toczącej się debacie i zacytowania kogokolwiek.

Nic dziwnego, że szanujący się uczeni amerykańscy nie chwala się cytawalnością – wiedzą bowiem, że jest to konkurencja z gruntu nieuczciwa.

Po trzecie wreszcie – kryterium publikowania na łamach najbardziej renomowanych czasopism naukowych, wymienionych w tzw. liście filadelfijskiej. Jest to lista drastycznie niekompletna, bezpardonowo uprzywilejowująca pisma anglojęzyczne, pomijająca nawet wiele najważniejszych pism Europy kontynentalnej (jak np., co zauważył prof. Karol Modzelewski, francuskie „Annales”, na których wychowało się całe pokolenie europejskich historyków) i niezpełniana o tytuły pism z naszej części Europy – mimo że całkiem sporo z nich reprezentuje porównywalny poziom. Spotkałem się z opinią, że traktowanie tej listy nazbyt serio byłoby równoznaczne ze wspieraniem „systemu zorganizowanej dyskryminacji” autorów

## Aby urzeczywistnić ideał powiązania nauki z przemysłem na wzór USA, trzeba najpierw przekształcić nasz kraj w przodującą pod względem innowacyjności potęgę przemysłową.

nieanglojęzycznych i czasopiśmiennictwa w nieanglojęzycznych krajach świata. W zastosowaniu do humanistyki wydaje mi się to niezbyt dalekie od prawdy. Humanistyka przecież istnieje w obrębie kultur i języków narodowych, a potem dopiero w międzynarodowym obiegu.

Innymi słowy: zmiećmy niesłuszne kryteria oceny, a wtedy zapewne zmieni się również pogląd na miejsce polskiej nauki w skali świata.

**4. Samofinansowanie nauki, czyli komercjalizacja.** Jeszcze jednym wątkiem krytyki współczesnej nauki polskiej jest zarzucenie jej niedostatecznego powiązania z rynkiem, a więc niezdolności do samofinansowania – co odróżnia ją ponoć od skutecznie „zmodernizowanej” nauki zachodniej. W rzeczywistości zarzut ten nie może dotyczyć humanistyki – nauki humanistyczne bowiem mogą być powiązane ze światem interesów rynkowych tylko dzięki hojnym dotacjom byłych wychowanków danej uczelni, którzy stali się milionerami i chętnie wspomagają dawną *Alma Mater*, odpisując sobie ofiarowywane sumy z należnych rządowi podat-

## Szanujący się uczeni amerykańscy nie chwala się cytawalnością – wiedzą bowiem, że jest to konkurencja z gruntu nieuczciwa.

ków (Notre Dame, dzięki więziom wytwarzanym przez katolickie wyznanie większości studentów oraz dzięki umiejętnemu podtrzymywaniu tradycji wygrywania mistrzostw w piłce nożnej, zdobyło tym sposobem bardzo mocną pozycję finansową). W naukach ścisłych natomiast samofinansowanie rzeczywiście istnieje: kierownicy katedr otrzymują od uniwersytetu swe profesorskie pensje, lokale i laboratoria, ale o pieniądze na badania i na doktorantów zabiegają sami, zdobywając korzystne kontrakty z wielkimi korporacjami przemysłowymi i dofinansowując z otrzymanych sum swoją uczelnię. To „samofinansowanie”, podkreślmy, nie dotyczy jednak samych podstaw profesury: te bowiem zabezpieczone są przez uniwersytet, zwykle w postaci *tenure*, czyli stałego, niepodlegającego wymówieniu kontraktu.

Jest rzeczą jasną, że system ten nie może być przeniesiony do Polski, w Polsce bowiem nie ma wielkich korporacji, które gotowe byłyby kupować za duże pieniądze pomysły innowacyjne od polskich uczelni. Taniej jest

### kupować gotowe licencje z Zachodu.

Z czego wynika, że aby urzeczywistnić ideał powiązania nauki z przemysłem na wzór USA, trzeba najpierw przekształcić nasz kraj w przodującą pod względem innowacyjności potęgę przemysłową.

**5. Dwustopniowość studiów.** Innego rodzaju nieporozumieniem, bardzo niekorzystnym dla środowiska naukowego w Polsce, stało się wdrożenie w naszym kraju amerykańskiego systemu studiów dwustopniowych, czyli podziału studiów na przeddyplomowe (w USA „koledżowe”, w Polsce nazywane licencjackimi) oraz podyplomowe (w Polsce policencjackie), traktowane w USA jako uniwersytet w sensie ścisłym, prowadzące (w USA) przez magisterium (po dwóch latach) do doktoratu, a więc przypominające raczej studium doktorskie.

System ten (o czym pisałem w innym miejscu) ma liczne wady, zwłaszcza w zastosowaniu do przedmiotów historycznych, których nie można nauczać w sposób systematyczny ani na poziomie „koledżu”, ani na studiach podyplomowych, na których całościowe wykłady wyeliminowane są na rzecz jednoseminalnych monograficznych seminariów. Ale ma też wielkie zalety, pozwala bowiem pracować ze studentami w małych, często parosobowych zaledwie grupach, metodą tutorialną, uwzględniającą indywidualne zainteresowania studentów i pomagającą im wybrać temat doktoratu. Studia takie ma-

ją charakter elitarny, liczba studentów podyplomowych na danym wydziale niewiele przewyższa liczbę profesorów. W Polsce natomiast (a także na Węgrzech, co miałem okazję widzieć w roku 2007) studia zwane podyplomowymi są masówką, uniemożliwiającą nie tylko indywidualną pracę ze studentami, ale nawet swobodny wybór przedmiotów monograficznych. System taki nie pozostawia więc należnego miejsca inicjacji, indywidualnemu wprowadzaniu młodych ludzi w arkana myśli naukowej i naukowego rzemiosła. Redukuje się do rutynowego „zaliczania kursów”, ale wymaga jednak pisania prac magisterskich (w USA większość uniwersytetów zniosła ten obowiązek, zastępując go egzaminem magisterskim), a następnie doktorskich. Czy można się dziwić, że w takich warunkach poziom magisteriów i doktoratów obniża się, a profesura, przeciętna zrutyinizowaną „produkcją masową”, nie jest w stanie temu przeciwdziałać?

**6. Stopnie naukowe.** Dodatkowym utrudnieniem wykonywania obowiązków nauczycielskich w szkolnictwie wyższym grozi projekt nowelizacji przepisów dotyczących habilitacji. Wprowadza on obowiązek powoływania w tym celu aż siedmioosobowych komisji, w których pięciu członków musiałyby mieć „uznaną renomę naukową” (w pierwotnym projekcie mowa była nawet o „renomie międzynarodowej”). Jest rzeczą oczywistą, że spełnienie tego wymogu rozciągnęłoby proces habilitacyjny na wiele lat, utrudniając habilitantom karierę naukową oraz odciągając uniwersytety od właściwych celów ich działalności. Nie mówiąc o tym, że znajdowanie aż tylu osób o „uznanej renomie” byłoby niezwykle trudne, a w wypadku osób o „renomie międzynarodowej” wręcz niewykonalne.

Należy pamiętać, że początkowo Ministerstwo Nauki proponowało zniesienie habilitacji jako procedury kosztownej, uciążliwej i nieznannej w większości krajów świata. Osobiście skłonny byłem popierać ten postulat, zgadzałem się bowiem z opinią moich kolegów amerykańskich, że dzielenie utytułowanych członków środowiska naukowego na doktorów „lepszych” i „gorszych” jest niepotrzebne i antagonizujące. Przeważał jednak pogląd, że w warunkach polskich wymóg habilitacji potrzebny jest jako środek przeciwko obniżaniu poziomu nauki. Założmy, że był to pogląd słuszny, w danej chwili nie ma o to sporu. Nie wyini-

## Tzw. lista filadelfijska to lista drastycznie niekompletna, bezpardonowo uprzywilejowująca pisma anglojęzyczne, pomijająca nawet wiele najważniejszych pism Europy kontynentalnej.

ka stąd jednak, że można dążyć nie do „zobiektywizowania, uproszczenia i przyspieszenia habilitacji” (jak pisał K. Kapiszewski), ale do maksymalnego przedłużania i utrudniania tego procesu! Jeśli bowiem uczynimy habilitację głównym i najtrudniejszym epizodem w życiu pracownika nauki, to zapłacimy za to dalszym, przyspieszonym zmniejszaniem konkurencyjności polskiej nauki, obniżaniem jej prestiżu, a niekiedy nawet podważaniem samych podstaw jej normalnego funkcjonowania.

**7. „Przyziemne” sprawy materialne.** Na zakończenie wspomnieć muszę o tym, co wszyscy lepiej lub gorzej widzą, ale nie zawsze chcą mówić o tym głośno. O tym mianowicie, że trudno porównywać pracę naukową ludzi mających nie tylko duże pensje i własne gabinety na uczelni, lecz również

## Należałoby zastanowić się nad powołaniem, na wzór amerykański, Związku Profesorów Wyższych Uczelni, czyli ciała gotowego ścigać sądowo działania administracyjne godzące w słuszne prawa środowiska.

dodatkowe fundusze na każdą niemal książkę, a nawet ambitniejszy artykuł, a co siedem lat korzystających z płatnego rocznego urlopu (*sabbatical year*), zasilanego dodatkowo rozlicznymi stypendiami na naukowe podróże, z pracą osób zmuszonych przez system wynagrodzeń do wieloletowości, piszących we własnych ciasnych mieszkaniach w skrawkach czasu wyrwanymi codziennej walce o byt, mających teoretycznie prawo do *sabbatical year*, ale w praktyce niemogących z niego korzystać i traktujących myślenie na serio o tym przywileju jako bajkę o żelaznym wilku. Z jednej strony, osoby słusznie informujące w swych publikacjach, że nie mogłyby napisać danej pracy bez takiego czy innego stypendium (czasem kilku), bez płatnego urlopu i pracy naukowej w innym kraju, z drugiej zaś strony, autorzy, którzy powinni byli informować, że napisali daną pozycję **pomimo** braku jakiegokolwiek pomocy, **pomimo** przepracowania, braku czasu, braku kontaktów, wyjątkowo trudnego dostępu do książek itd., itp. A to przecież nie jakaś fikcja, lecz skróty opis standardowej sytuacji amerykańskich uczonych z jednej strony, a polskich z drugiej.

Jako człowiek widzący to z obu stron muszę stwierdzić, że podziwiam wysiłek polskich uczonych w radzeniu sobie z tą sytuacją. Nie mogę wypowiadać się o naukach ścisłych, ale w zakresie dyscyplin humanistycznych, które znajdują się w moim polu widzenia, dostrzegam nie tylko poszczególnych wybitnych uczonych (którzy w każdym kraju stanowią małą, pozytywnie wy-

różnioną mniejszość), lecz także bardzo wiele prac reprezentujących dobrą średnią, nie gorszą od amerykańskiej; prac, które nie mogą liczyć na przetłumaczenie, ale które na pewno nie przyniosłyby nam wstydu, gdyby pojawiły się w obcych językach. A jeśli tak jest, to nie jest źle, a mogłoby być dużo, dużo lepiej.

Nasi urzędowi reformatorzy nauki chcą walczyć z wieloletowością, słusznie widząc w niej poważne zagrożenie, ale jednocześnie skąpią pieniądze na naukę, posuwając się nawet do sugerowania, że zajmowanie się pracą naukową jest rodzajem przywileju samego w sobie, niezastługującego na godziwe wynagrodzenie.

Jest to szczególnie widoczne w odniesieniu do Polskiej Akademii Nauk, mimo że zyskała ona w międzynarodowych rankingach miejsce w pierwszej setce, czyli o wiele lepsze niż polskie uniwersytety. Pensje pracowników PAN są o wiele niższe niż pensje pracowników uczelni, „profesor PAN” zarabia mniej niż 2 tys. zł, czyli połowę średniej województwa mazowieckiego, co jest zapewne rekordem w skali światowej. Uzasadnia się to tym, że pracownicy PAN zajmują się ponoć „wyłącznie nauką”, bez dydaktyki, ale jest to argument pozornie tylko trafny: w rzeczywistości bowiem instytuty PAN pozbawione zostały etatów administracyjnych, redaktorów i naukowo-technicznych, co odebrało pracownikom lwia część czasu poświęcanego przedtem na uprawianie nauki, doszły zaś do tego bardzo pracochłonne i czasochłonne prace nad aplikacjami o granty. Przede wszystkim jednak przytoczona argumentacja odzwierciedla niestety pogardliwe

### lekceważący stosunek urzędników

do „wyłącznie naukowej” pracy. Warto więc odnotować, że w Stanach Zjednoczonych, a więc w kraju znanym składaną z pragmatycznego utilitaryzmu, instytutów tzw. studiów zaawansowanych, czyli instytucji płacących za pracę „wyłącznie naukową” właśnie, przyjęły zasadę jednakowości opłacania prac naukowo-badawczej i pracy naukowo-dydaktycznej, motywując to zupełnie inaczej: tym mianowicie, że wyższe opłacanie prac czysto badawczych mogłoby przyciągać kandydatów zainteresowanych w gruncie rzeczy wyższymi zarobkami. Przesłanką tego rozumowania było więc założenie, że prace „wyłącznie naukowe” **mogłyby być opłacane wyżej**, ale nie robi się tego ze względu na zawodową etykę pracownika nauki.

## W Polsce studia zwane podyplomowymi są masówką, uniemożliwiającą nie tylko indywidualną pracę ze studentami, ale nawet swobodny wybór przedmiotów monograficznych.

## Czy można się dziwić, że poziom magisteriów i doktoratów obniża się, a profesura, przeciętna zrutyinizowaną „produkcją masową”, nie jest w stanie temu przeciwdziałać?

Z tego, co napisałem, nie wynika, że sytuacja polskiej nauki uniwersyteckiej jest moim zdaniem, w porównaniu z sytuacją w PAN, dobra lub choćby zadowalająca. Przemęczenie wynikające z wieloletowości, złe warunki pracy i coraz częstsze konflikty z biurokratycznym centralizmem ministerialnym są plagą całej nauki polskiej. Aby zmienić tę sytuację, środowisko akademickie powinno porzucić postawę klienta rządu, przekształcić się w zbiorowy podmiot świadomy własnych praw – tylko w ten sposób bowiem (o czym obszernie pisał wielki polski teoretyk prawa, Leon Petrażycki) powstaje wolne społeczeństwo. Rząd powinien zrozumieć konieczność zwiększenia śmieśnizny małych nakładów na naukę, w tym również, jak sądzę, na prezentowanie najlepszych osiągnięć nauki polskiej w językach światowych. Należałoby zastanowić się nad powołaniem, na wzór amerykański, Związku Profesorów Wyższych Uczelni, czyli ciała gotowego ścigać sądowo działania administracyjne godzące w słuszne prawa środowiska. Do spraw zasługujących na specjalną ochronę prawną należałoby zaliczyć respektowanie prawa profesury do rocznych płatnych urlopów co siedem lat, bez tego bowiem nie może być mowy o jakimkolwiek zrównoważeniu warunków pracy w ramach cywilizacji zachodniej, do której przecież faktycznie i formalnie należymy. Listę spraw tego typu można oczywiście znacznie wydłużyć.

Intencją tego artykułu nie jest w żadnym wypadku chęć zaognienia konfliktów, które pojawiły się w relacjach między środowiskami naukowymi a ministerstwem. Sądzę jednak, że dla załagodzenia tych konfliktów trzeba spojrzeć na sytuację nauki polskiej trochę z zewnątrz oraz nie bać się nazywać rzeczy po imieniu.

ANDRZEJ WALICKI  
30 stycznia 2011 r.

Autor jest historykiem idei, członkiem rzeczywistym PAN i emerytowanym profesorem Uniwersytetu Notre Dame w Indianie w USA

<sup>1</sup> Patrz diagnoza opracowana dla ministerstwa przez firmę Ernst and Young Business Advisory oraz Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową, wymienianą w tym kontekście Harvard, Stanford, Cambridge i Oksford.

<sup>2</sup> Zgodnie z tą zasadą ludzie tacy jak Bertrand Russell (Cambridge) lub Isaiah Berlin (Oksford) zadowalali się tytułem magistra.